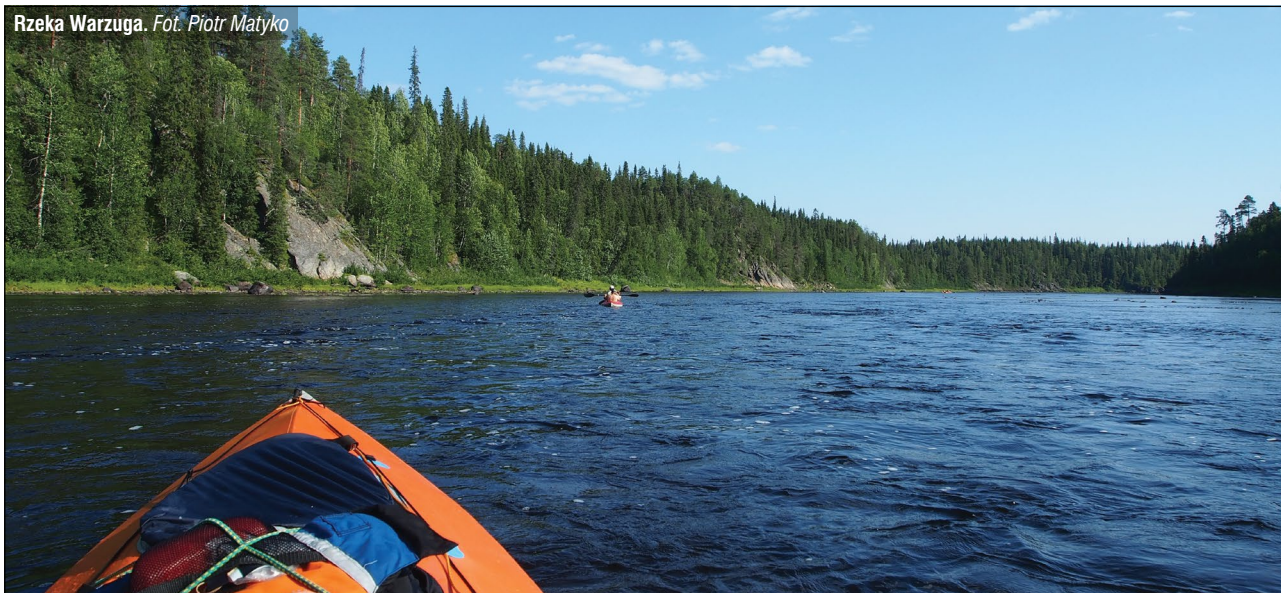


Rzeka Warzuga. Fot. Piotr Matyko



Damian Wojciechowski, TJ

KAJAKIEM PRZEZ TAJGĘ I TUNDRĘ



Krzyż na miejscu łagru w pobliżu Dużego Cagskiego Jeziora.
Fot. Piotr Matyko



Ostatni nocleg. Piotr i Jarek na mierzei między Warzugą i Morzem Białym.
Fot. Damian Wojciechowski



„Moriszka” to „tundrowa” jagoda. Fot. Piotr Matyko



Jarek ciągnie kajak przez płycizny i bysyrza w górnym biegu Pany.
Fot. Piotr Matyko

Gdy studiowałem w Moskwie, mój kolega z roku, Ilija, opowiadał mi ciągle o Putorana Plateau. Ja sam jestem raczej człowiekiem gór, choć na spływach kilka razy bywałem, więc przez cały czas puszczałem te opowiadki mimo uszu. Putorana Plateau – brzmiało jak coś w Patagonii albo jeszcze dalej. Po wielu latach spojrzałem na mapę oraz fotki i... wpadłem w zachwyt.

Połączenie gór i wody: wodospady, jeziora, górskie rzeki i kompletna syberyjska dzicz. Na zachód od Jeniseju i Norylska, poniżej półwyspu Tajmyr. Płaskowyż wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO, ciągnący się setki kilometrów, sięgający wysokości 1700 m, poprzedzielany setkami rzek. Dzicz oczywiście dla Europejczyka, bo dla rosyjskiego kajakarza, czy częściej katamaranowca, są to tereny dobrze znane. Mimo buńczucznych tekstów Polaków o pierwszym przepłynięciu lub wejściu, kilku planowanych lub zrealizowanych wyprawach w ten rejon świata, to Rosjanie zorganizowali tam już wcześniej wiele ekspedycji. Zaledwie kilka z setek odcinków rzek nie zostało przepłyniętych przez nikogo, bo na przykład kanion był zbyt wąski i zbyt głęboki, aby zrobić rozpoznanie bystrzy i wodospadów z łądu przed spłynięciem.

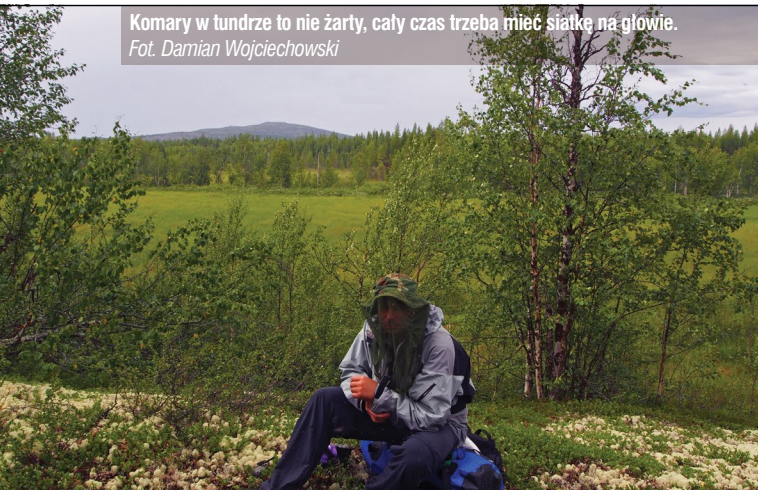
Wymyślam trasę z Norylska do Norylska, po okręgu, ponad 2000 km. Są dwa miejsca, gdzie trzeba będzie ciągnąć kajaki. Jadę z Moskwy do Petersburga, gdzie przy pomocy rosyjskiego „allegro” od sympatycznego kajakarza kupuję dwa składane górskie kajaki Svir-N, wyprodukowane przez rosyjską firmę

Triton. Wraz z Piotrem i Jarkiem, dla których kajak i woda to codzienność – obydwoj z Kazimierza nad Wisłą – rozpoczynamy przygotowanie taktyczne i sprzętowe. Niestety wybucha wojna w Donbasie, a Norylsk to miasto zamknięte. Przepustki daje FSB (współczesne KGB) – inaczej po prostu ich nie zdobędziesz. Chyba, że masz fortunę i wykupisz wycieczkę z transportem helikopterem, przewodnikiem, kucharzem...

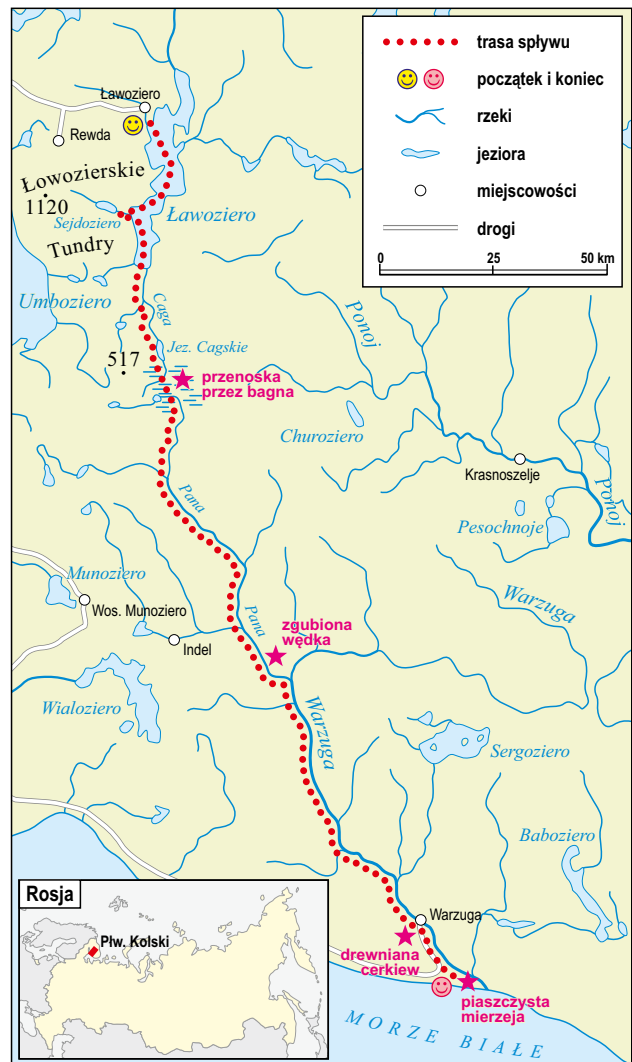
Przeżywam załamanie.

Brodzę palcem po mapie – to najlepszy sposób na znalezienie czegoś naprawdę dzikiego. Jeśli znajdziesz informację na stronach i forach turystycznych, to jest jasne, że ktoś już tam był. I tak wpadam na pomysł, by przepłynąć Rzekę. Prawdziwą dziką Rzekę, nieopisaną w żadnych przewodnikach, bez fotografii w google.maps – 2500 kilometrów szlaku. Jedna wioska w górnej części – druga u ujścia. Do tej pory przepłynięta kajakiem tylko raz przez Karpuhina z Moskwy (w dwóch etapach, w ciągu kilku lat). Dwa miesiące płynięcia – żadnych szans na pomoc z zewnątrz. Żadnego człowieka po drodze. Helikopterem czy nawet samolotem nie doleczysz – za daleko. Można jednak dostać się do źródeł i mieć nadzieję na ewakuację z ujścia.

Komary w tundrze to nie żarty, cały czas trzeba mieć siatkę na głowie.
Fot. Damian Wojciechowski



Piotr złowił naszego pierwszego pstrąga.
Fot. Damian Wojciechowski



Ale jest już za późno na przygotowania do Rzeki. Proponuję więc szkoleniowy wyjazd w inne miejsce. Wybór pada na Półwysp Kolski położony na wschód od Norwegii i Finlandii między Morzem Barentsa i Morzem Białym. Okolice pozbawione siedzib ludzkich. Tundra i tajga, surowy klimat. Dla mnie wygodne – tylko 1,5 dnia jazdy pociągiem z Moskwy do Murmańska. Przeglądam rosyjskie strony wodne i decyzja pada na trasę: Jezioro Ławoziero – Caga – Pana – Warzuga – Morze Białe. Aby się przygotować, wyruszam jeszcze z Jarkiem na Łupawę. Dlaczego tę rzekę opisuje się jako trudną? Niezbyt rozumiem...

Moskwa. Peron Lenigradskowo Wokzała dosłownie zabity katamaranami i kajakami. Dziesiątki wypraw – pływanie to narodowy sport Rosjan. Kiedyś właśnie „idąc po rzekach” podbijali Syberię. Pociąg numer 92 pełny wodniaków z całej Rosji, Ukrainy i Białorusi. W Karelii pociąg pustoszeje – jesteśmy jedyną grupą, która wysiada na północy w Oleniogorsku. Dwukrotna zmiana transportu i jesteśmy na brzegu Ławoziera w miejscowości o tej samej nazwie. Tutaj kończy się cywilizacja, a zaczynają komary. Przed nami ponad 270 km dzikich rzek i jezior. Wewnątrz półwyspu w jego wschodniej części zaledwie dwie małe wioski i trochę osad na południowym brzegu, a przecież to teren wielkości połowy Polski! Ku północy (czyli odwrotnie niż my) rusza na słynnych Tajmieniach małżeństwo z małymi dziećmi...

Złożenie Svirów to prawdziwa męczarnia. Zmęczeni, spoceni, z poranionymi palcami, po kilku godzinach wypływamy

na Ławoziero, które ciągnie się 50 kilometrów z północy na południe. Okazuje się, że na fali mnie i Jarkowi trudniej manewrować jednym Svirem, niż Piotrowi samemu drugim. Sviry to ekspedycyjne kajaki wzmocnione specjalnie na górskie wody i przystosowane do obcierania o kamienie. Płyniemy do zmroku i w deszczu zatrzymujemy się w budującej się niewielkiej bazie wędkarskiej. Piotr łowi pierwszą rybę, a rano budzą nas cieśle, którzy zupełnie nie zwracają na nas uwagi. Tutaj, tak jak na Syberii, każdy człowiek ma prawo zatrzymać się gdzie chce, aby tylko niczego nie dewastować. Płyniemy w kierunku Ławozierskich Tundr, czyli pozbawionych lasu gór, w środku których położone jest kilkukilometrowe Sejdoziero. Surowa, groźna, ale piękna przyroda. Dochodzimy do jeziora piechotą i po drodze zajadamy się przysmakami północy „moriszką”, czyli maliną moroszką. Piotr łowi pstrągi. Przed nami dwa tygodnie ciężkiego wiosłowania – ryby (pstrągi, szczupaki, okonie) to niezbędny element diety. Ciekawie jest obserwować, jak ogromny szczupak stoi nieruchomo przy brzegu, a potem jak błyskawica rzuca się na błytkę, by za chwilę piec się na ognisku. Spotykamy grupę kajakarzy – jedni z nielicznych ludzi na trasie. Nocujemy na południu jeziora wśród „chylej tajgi”, czyli cieniutkich i niskich świerków oraz modrzewi, wystających z mchów i porostów, w których można się zapaść po kolana.

Nazajutrz zaczyna się nasza droga przez mękę: płyniemy niewielką Cagą pod prąd. Trzemy ciągle dnem po kamieniach, ale Sviry są dzielne – nie puszczają. Pogoda coraz gorsza:

Bystrza w dolnym biegu Pany. Fot. Piotr Matyko



zimno i pada. To jest północ, to normalne. Komary... Setki, tysiące komarów. Przez cały czas nosimy moskitiery na głowie. Rosyjski spray pomaga odstraszyć złośliwe owady na jakieś 1-2 godziny. Kolejne bystrza i progi – pływanie zamienia się w ciągnięcie. Kilometrami. To charakterystyka naszego spływu. Na małej wyspie pośrodku rzeki dobrze urządzony wigwam myśliwych – zamieszkały zimą. Nocujemy na Dużym Cagskim Jeziorze. Nagle słyszymy ogłuszający huk. Pojawia się opancerzony transporter. Na pokładzie na kanapie jedzie gdzieś na północ grupa geologów...

Według opisu powinniśmy teraz wpłynąć w bagna oraz wąskie rzeczki i w ten sposób dostać się do jezior, z których wypływa Pana. Wody mało, komarów dużo, decyduję więc, że pójdziemy łodem 20 km. Same kajaki ważą po 25 kg. Piotr ładuje wszystko na siebie na jeden raz, my rozdzielamy na dwa. Jest droga, przy której stoi krzyż upamiętniający sowiecki łagier. Ta ziemia bez wątplenia usiana jest ludzkimi kośćmi. Gubię się na bagnach, ale dzięki Bogu odnajduję ścieżkę i chłopaków. Przerzut na dorzecze Warzugi zajmuje nam trzy dni.

Przeplływamy kilka urokliwych Panskich Jezior – cichych i otoczonych bezkresnymi lasami. Pana, tak jak Caga, trochę meandruje, a wszystkie, jak i Warzuga, przepływają przez morenę. Oznacza to, że ciągle zmieniają swój charakter. Są odcinki głębokiej wody prawie bez prądu z bagnistymi brzegami, gdzie nie można znaleźć miejsca na rozłożenie namiotu. Potem napotykałyśmy ciągnące się kilometrami płyciutkie by-

strza i progi z ogromnymi głazami, ale brzegi są wysokie i suche. Na progach czasami podnosi się szybkość oraz ilość wody i pojawia adrenalina. Na brzegu widać czasami nawet ławeczki i stoliki przygotowane przez innych wodniaków. Ciągle trzeba ciągnąć nasze „krążowniki”, które zaczynają się dziurawić. Piotr łowi ryby z kajaka. Wędkę kładzie z tyłu i nie zauważa, jak na kolejnym bystrzu krzaki ściągają mu ją do wody. Co będziemy teraz jedli? Wpływamy na Warzugę – to ona doprowadzi nas do Morza Białego. Czasami ma nawet kilkaset metrów szerokości, ale niestety jest równie płytka jak poprzednie. Na

rzece spotykamy wędkarzy na katamaranach (na całej trasie widzimy jeszcze inną grupę na brzegu, bliżej ujścia) – częstują wódką... i dają wędkę. Piotr łowi ogromne łososie – niestety zrywają się. Kołowrotek jest zepsuty. Rosjanie mówią, że nie mamy szczęścia – w tym roku jest susza. Poziom rzeki opadł nawet o metr. Teraz rozumiem, dlaczego my płyniemy cały dzień odcinek, który według opisów rosyjscy kajakarze pokonywali w ciągu kilku godzin.

Przyroda zmienia się: na wysokich brzegach rosną ogromne świerki. Jest coraz mniej komarów, które znikają zupełnie na brzegu morza. Czym bardziej na południe – tym rzeka głębsza, choć ciągle zdarzają się bystrza. W końcu dopływamy do jedynej wioski na spływie, która tak jak rzeka nazywa się Warzuga. Tutaj obzeramy się różnymi smakołykami i podziwiamy jedną z najstarszych drewnianych cerkwi w Rosji. Proszę prawosławnego mnicha o błogosławieństwo – ciekawe co by powiedział, gdyby wiedział, że jestem jezuitą?

Piotr żali się, że ma kajak pełen wody. Dopływamy do brzegu i okazuje się rzecz niemiła: do tej pory to my łątailiśmy kajak, bo nasz był bardziej obciążony, tymczasem na Svirze Piotra listwa PCV, wzmacniająca kil, była minimalnie przesunięta – kajak tarł dnem po kamieniach i w końcu na całej długości pojawiło się przetarcie, które teraz trzeba umiejętnie zakleić długim kawałkiem powłoki.

Bliżej ujścia cała rzeka o szerokości kilkuset metrów, przegrodzona jest sieciami. Dlatego też ryb mniej. Dopływamy do liczącej kilkanaście kilometrów mierzei – jest szeroka na kilometr i oddziela Warzugę od Morza Białego. Wielka piaszczysta pustynia. Od strony rzeki coś w rodzaju drogi, czyli szansa na wydostanie się do jakiegoś transportu. Żeby nie tracić czasu i nie nieść kajaków z powrotem, postanawiamy przejść na piechotę przez mierzęję do morza. Składamy kajaki i następnego dnia wychodzimy na „drogę”. Sytuacja surrealistyczna: czekamy na taksówkę na ogromnym piaszczystym pustkowiu. Mamy jednak szczęście: małżeństwo z Moskwy przyjechało tutaj pojeździć po piasku jeepem i w drodze powrotnej dowożą nas do drogi (jeszcze nie asfaltowej). Następnie pokonujemy autobusem kilkaset kilometrów przez prawie bezludne okolice na południowym wybrzeżu Półwyspu Kolskiego i dojeżdżamy do Kandalakszy. Fortunnie – niedługo odjeżdża pociąg i są jeszcze miejscówki.

Nasz plan treningowy został wypełniony – sprawdziliśmy kajaki i siebie. Teraz można ruszyć na Rzekę. Tę wymarzoną. Nazwy Rzeki nie podam – informacja w dzisiejszych czasach jest cenniejsza od złota. By ją przepłynąć, musimy pokonać wiele przeszkód, pietrzących się przed nami, z których jedna z większych to brak ludzi, którzy są w stanie zaryzykować i poświęcić dwa miesiące życia na płynięcie w absolutnej dżicy. Dżicy w dosłownym tego słowa znaczeniu. Ale nadziei nie tracę i wierzę, że i z tej wyprawy napiszę kiedyś relację.

Czy ktoś z Was miałby ochotę mi towarzyszyć? Proszę o kontakt z redakcją WIOSŁA. **WIOSŁO**

